

Ze wspomnień starego lokaja



Zamek w Łańcucie w 1924 r., fot. 1-P-2131 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Zamek w Łańcucie jest jednym z najpiękniejszych zabytków kultury dawnej Polski. Otoczony wspaniałym angielskim parkiem, fosą, w której nigdy nie było wody, tylko pnąca się po skalistej nawierzchni roślinność, z największą w Europie prywatną kolekcją Powozów i słynnymi Międzynarodowymi Festiwalami Muzyki, stanowi do tej pory miejsce chętnie odwiedzane przez turystów z całego świata.

Zamek przez wiele lat był siedzibą rodziny Potockich. Po śmierci Romana Potockiego w 1915 roku czwartym i ostatnim łańcuckim ordynatem został Alfred Potocki. Spokrewniony z rodzinami arystokratycznymi w całej Europie obracał się w kręgu europejskiej śmietanki towarzyskiej, a poprzez brata Jerzego, ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych, miał stały kontakt z politykami, dyplomatami i bieżącymi wydarzeniami na amerykańskim kontynencie. Po likwidacji skutków I Wojny Światowej i uregulowaniu spraw administracyjno-gospodarczych, w Łańcucie znów zaczęła rozbrzmiewać muzyka, a przed zamek zajeżdżały gościnne zaprzęgi czy luksusowe czarne limuzyny. Przyjmowani byli znakomici goście z całego świata. Z oficjalnymi wizytami przybywali m.in. król Rumunii, księżę i księżna Kentu, marszałek Piłsudski, prezydent Mościcki, minister Beck.

Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał. Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości z zagranicy byłem pewien słuszności swych usług dla mego kraju – pisał Potocki w „Pamiętnikach”.



Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Hrabia Alfred Potocki (na pierwszym planie w środku), hrabina Maria Helena Potocka i minister spraw zagranicznych Józef Beck w rozmowie przed zamkiem łańcuckim. Na drugim planie widoczna księżna Kentu Marina (pierwsza z prawej) i hrabia Benedykt Władysław Tyszkiewicz, 1937-38 r, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-P-2133-4.

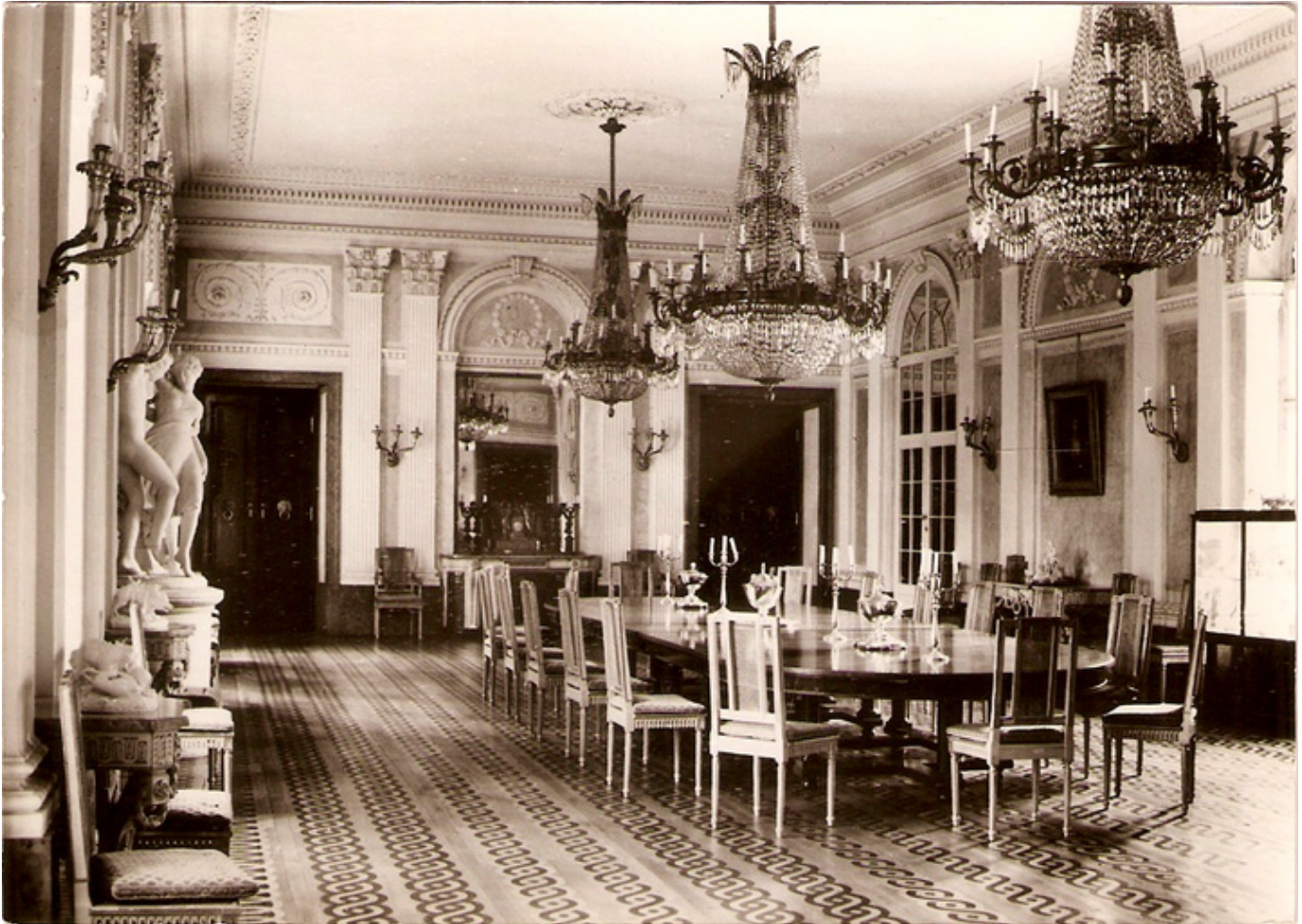


Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Księżę Jerzy (z prawej w jasnym ubraniu) z małżonką Mariną w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka (z prawej pod parasolem) i pani Jadwigi Beck przed zamkiem łańcuckim. Z lewej w jasnej sukience widoczna hrabina Maria Helena Potocka, w bramie zamku Alfons Koziół-Poklewski i hrabia Alfred Potocki, 1937-38 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-P-2133-6.

Aleksander Świątoniowski przed wojną był lokajem z pierwszego piętra. A na pierwszym piętrze znajdowały się reprezentacyjne pomieszczenia: Sala Balowa, Biała Jadalnia, Teatr i luksusowe, gościnne apartamenty. Pracował w Zamku długo, bo od 1927 roku, aż do wyjazdu Potockich z kraju w 1944 roku. Trudno było do niego trafić. Zaraz po wojnie oprowadzał wycieczki po upaństwowionym już Muzeum-Zamku. Komuś się nie spodobało, że chwalił byłych właścicieli i stracił pracę. Od tej pory nie przyznawał się do dawnej służby.

Zbierając materiały o rodzinie Potockich szukałam osób, które mogły by mi opowiedzieć o przedwojennych czasach. Niestety, rodzina czy przyjaciele mieszkali w dużej części za granicą, a byli pracownicy, to starsi ludzie, którzy niewiele wiedzieli. - Ja proszę Pani stolarzem byłem, więc nie bywałem na pokojach -

słyszałam. Wtedy, młody bibliotekarz pracujący w Bibliotece Zamkowej Tadeusz Baj powiedział mi o lokaju z pierwszego piętra, który mieszkał w Soninie pod Łańcutem i był jego sąsiadem. Umówił mnie i poszliśmy razem.



Biała Jadalnia na starej fotografii. Jadalnia położona obok Sali Balowej i Teatru pełniła funkcję reprezentacyjną. Tu odbywały się bankiety i tu byli przyjmowani dostojni goście.

Aleksander Świętoniowski okazał się bardzo miłym starszym panem. Wysoki, barczysty, z gęstymi włosami. Na pierwsze piętro dobierani byli przecież pracownicy o reprezentacyjnym wyglądzie. Przyjął mnie bardzo gościnnie, widać był zadowolony, że może sobie powspominać. Nie czekając na pytania z mojej strony zaczął opowiadać.

- Kiedy zjeżdżali się ważni goście, to mieliśmy masę roboty i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i bawili do Trzech Króli. Potem Potocki jechał za

granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.

Staremu lokajowi płaczą się czasami wydarzenia, myślą nazwiska, poprawia się, zastanawia. Chce jednak jak najwięcej sobie przypomnieć i jak najwierniej odtworzyć tamte czasy, z okresu swojej młodości.

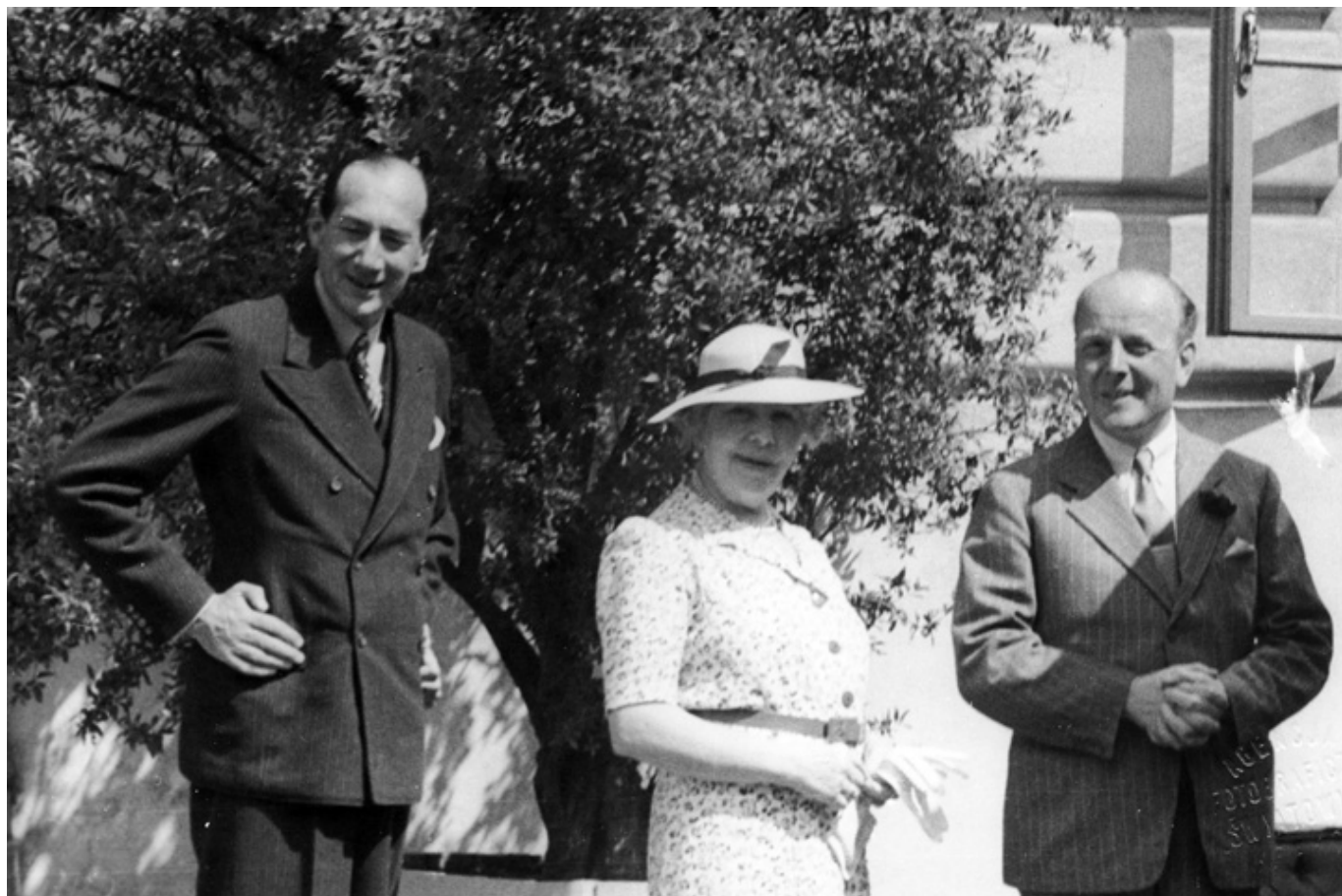
- O, było tu i na co popatrzeć, było. Na przykład taka wizyta hinduskiego Maharadży. Co tu był wtedy za ruch, ile kolorowych wspaniałości. Błyszczące stroje, dziwne obyczaje. I ta egzotyka w naszym, galicyjskim Łańcucie.

- Albo ta aktorka Laura. Ile było z nią zamieszania.

Z urywanego potoku słów można wywnioskować, że przez pewien czas mieszkańcy zamku interesowali się plotkami o pięknej aktorce Laurze, Amerykance, grającej podobno w Hollywood. Hrabia Potocki przywiózł ją do Łańcuta ze swoich amerykańskich wojaży. Szczerze w niej zakochany chciał się nawet z nią ożenić i zrobić piękną Laurę panią na Łańcucie. No, ale przecież matka ordynata, spokrewniona z europejskimi rodzinami panującymi, nie mogła dopuścić do takiego skandalu. Jej synowa, żona łańcuckiego ordynata - aktorką. Nie, to byłoby straszne.

Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął pewnie też dawny obyczaj, że po ślubie syna - ordynata, matka - wdowa, powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze. W związku z tym energiczna postawa Elżbiety Potockiej zmieniła tok wydarzeń. Piękna Laura musiała wyjechać.

- W saloniku, na fortepianie do dziś stoi jej fotografia. To ta urodziwa kobieta z koralami na szyi.



Hrabia Alfred Potocki (z prawej) z matką hrabiną Elżbietą Potocką i ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem w ogrodzie przed zamkiem łańcuckim w sierpniu 1937 roku, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

- *A słyszała pani o tym człowieku z Wrocławia, który podszywał się pod syna Potockiego?*

I znów lokaj zamienia się w gawędziarza.

Już po wojnie zgłosił się domniemany, nieślubny syn hrabiego. Mówił, że jego matka była kiedyś garderobiana w pałacu i spodobała się hrabiemu Alfredowi. Badano, pytano, przesłuchiowano świadków. Sprawdzano czy rzeczywiście była taka garderobiana. Jedni twierdzili, że była, inni, że nie. Rzekomy syn ordynata dokumentował swoje pochodzenie sygnetem, który miał dostać od hrabiego. Przy bliższych oględzinach okazało się jednak, że sygnet był podrobiony. Półtrzecia krzyża na srebrnym polu, czyli Srebrna Pilawa, ma trzecią pałkę z prawej strony, a okazany przez domniemanego potomka pierścień, był niestety tylko lustrzanym odbiciem rodowego herbu.



Hrabia Alfred Potocki podczas przejażdżki konnej przed pałacem, 1924 r., fot. 1-P-2131 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

- *A ile było zamieszania wokół sprawy z ambasadorem Francji.*

Jak zwykle w karnawale Zamek tętnił życiem. Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z gości, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy”. Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpięły, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przeproszać obrażonego gościa.



Od lewej: Jerzy i Alfred Potoccy, Stary lokaj wyciąga przedwojenne fotografie. Tu w liberii lokajskiej, a tu w mundurze orkiestry straży pożarnej. Hrabia Potocki utrzymywał orkiestrę, która grała nie tylko na powitanie gości. Gdy w niedzielę rano ordynat jechał na mszę do kościoła, kazał grać marsze żałobne, a kiedy wracał, to same skoczne mazurki i oberki. Lubił muzykę ludową. Płacił każdemu, kto mu zanucił nową przyśpiewkę. Przed wyjazdem z Polski na stałe hrabia Potocki ustawił swoich pracowników w rządzie, ze wszystkimi się pożegnał i zapowiedział, żeby pilnowali majątku. Przypuszczał, że wróci do rodowej siedziby.

Przez długi czas po wyjeździe Potockich dyżurowano więc w Zamku i pilnowano, żeby nic nie zginęło. Zanim jednak obiekt został zabezpieczony, narażony był na kradzieże i dewastacje. Jeden z sekretarzy partii wydał nakaz zlikwidowania oznak dawnej świetności i śladów wyzysku. Niszczono więc boazerię i zabytkowe posadzki, wynoszono meble, porcelanowe serwisy, srebrne sztuce. A na zamkowym dziedzińcu rozpalono ognisko. W płomieniach znalazło się wiele cennych książek, mapy, XVII-wieczne atlasy, nuty z czasów Księżnej Marszałkowej. Dawni pracownicy wynosili do domów co się dało i ukrywali w piwnicach, żeby ochronić przed zniszczeniem.

Przez jakiś czas mieszkali w zamku rzekomi artyści - malarze. Zajmowali pokoje na

drugim piętrze tzw. Gabardówkę. Po ich wyjeździe zauważono zniknięcie kilku obrazów Kossaka. Dzieła te znalazły się potem na aukcji w Stanach Zjednoczonych.



Prezydent RP Ignacy Mościcki w towarzystwie ordynata Alfreda Potockiego i świty zwiedza park pałacowy, 1929 r., fot. 1-A-1578-11 / Narodowe Archiwum Cyfrowe.

- Pan Hrabia to był swój chłop - kończy swoje wspomnienia stary lokaj. - Gorsza była matka, bo wie pani, to Niemka. A on to i na wesele do nas przyszedł i na chrzciny. I zadbał o ludzi, jak było potrzeba.

Alfred Potocki nigdy już do Polski nie przyjechał. I tak zakończyła się służba u ostatniego ordynata w Galicji, pana na Łańcucie.

Belle Époque. Łańcut i powozy.



Teresa Żurawska

Bogata, sielsko piękna Belle Époque. W stolicach Europy tętniło życie. Pospiesznie budowano miejskie pałace o wysokich i obszernych bramach wjazdowych, luksusowe hotele, solidne banki i instytucje użyteczności publicznej. Wzrastał się ruch uliczny. Stare, wąskie, zbyt ciasne szlaki komunikacyjne przebudowywano na szerokie arterie dla licznych pojazdów konnych i coraz częstszych samochodów. Pręto dawne dzielnice Paryża, burzono niepotrzebne już wały obronne Wiednia. Wypiętrzał się elegancki Budapeszt. Wokół zabytkowego centrum czeskiej Pragi dostawiano drogie hotele na wzór paryskich pałaców. W Warszawie powstawały wielkomiejskie Aleje Jerozolimskie. Budowlany rozmach i entuzjizm tworzenia ogarnął całą Europę. Wielkie stawały się miasta, wielkie były domy, wielkie w nich mieszkania, meble, przedmioty codziennego użytku, wielkie też myśli towarzyszyły ludziom nawet w godzinach rekreacji.

Życie w metropoliach miało szczególny smak, smak nowości, nęcących reklam, różnorodnych towarów pachnących egzotyką krajów kolonialnych. Urok wieczornych spotkań w operze, rautów i karnawałowych bali nieodmiennie towarzyszył porze jesienno-zimowej. Latem miasta stawały się męczące, duszne, mniej ludne. Życie

towarzyskie europejskiego *high life'u* przenosiło się na wieś, do dworów i pałaców – rezydencji wiejskich, gdzie w rozległych plenerach angielskich parków spędzano czas na spacerach w powozach eleganckich, miękko resorowanych, wygodnych. Zdawały się być one dostosowane do wytwornych, długich sukien z tiurniurą, ściśniętych w pasie, opiętych w gorsie, eksponujących kobiecą sylwetkę. Gigantyczne kapelusze z pękami kwiatów romantycznie ocieniały delikatne, blade twarzyczki o naiwno-dziecięcych oczach. Czar kobiety, czar powozu, czar wiejskiej sielanki. Taką atmosferą tchnęło życie codzienne w rezydencji łańcuckiej, jednej z największych i najświetniejszych w Europie pod koniec XIX i w pierwszej ćwierci XX wieku.



Dzisiejszy Łañcut – niewielkie miasteczko (około 15 tys. mieszkañców) położone w południowej Polsce, przy ważnym szlaku turystycznym i międzynarodowej trasie E4, odległy jest od Warszawy o 340 km na południe, od Krakowa – 175 km na wschód.

Wzniesiono tu w XVII wieku fortyfikowany zamek, z czasem powiększony, rozbudowany i przekształcony na pełną rozmachu siedzibę otoczoną parkiem. Była

ona własnością dwóch słynnych rodów arystokratycznych w Polsce: książąt Lubomirskich (1623-1817) i hrabiów Potockich (1817-1944). Po działaniach drugiej wojny światowej, w 1944 roku, rezydencja stała się pierwszym muzeum w Polsce. Nosi obecnie oficjalną nazwę: Muzeum-Zamek w Łańcucie. Do Muzeum należy ogromny zamek-pałac z jego wnętrzami urządzonymi w stylu baroku, rokoko, klasycyzmu i powtórzonych w Belle Époque stylach historycznych oraz dawne stajnie budowane cugowe i powozownia z jej bezcennymi zbiorami.

Zamek otoczony jest znakomicie zachowanymi fortyfikacjami bastionowymi, w obrębie których znajduje się klasycystyczny budynek oranżerii, pawilon biblioteki zamkowej w stylu wiktoriańskim i część pomocniczo-gospodarcza pałacu. Całość tę otacza piękny, trzydziesto-hektarowy park z licznymi okazami rzadkich drzew i krzewów, ze słynną, już nie istniejącą, storczykarnią, kortami tenisowymi, ujeżdżalnią zimową, zameczkiem w stylu romantycznym i domem ogrodnika. Obecnie mieści się w nim szkoła muzyczna.

Nieopodal zamku, po drugiej stronie parku od południa, zbudowano w końcu XIX wieku dwa imponujące wielkością i szatą architektoniczną budynki przeznaczone dla koni i kolekcji pojazdów. Francuski architekt, Armand Bauquè, zaproszony do Łańcuta przez Romana Potockiego, ojca ostatniego ordynata, nadał budynkom charakter monumentalny w stylu francuskiego klasycyzmu, z piętnem baroku i secesji. Budynek stajni wyjazdowych mógł pomieścić 49 koni pod wierzch i do zaprzęgów, używanych codziennie. W powozowni, podzielonej na dwie części: czarną i żółtą, przechowywano ponad 50 pojazdów sprawnych do użycia natychmiast i na każdą okazję.



Komplet podróżny, kareta dorneza i furgon bagażowy, Wiedeń, poł. XIX wieku, fot. Jerzy Jawczak.

Powozownia zamkowa wraz z jej kolekcją pojazdów, pełnym wyposażeniem w urządzenia i akcesoria do zaprzęgów, stanowi dziś jedno z nielicznych tego rodzaju muzeów na świecie. Wszystko tu jest autentyczne i sprawne tak, jak było w Belle Époque. Jest unikatem w Europie.

Już wchodząc do hali zaprzęgowej zauważa się podłogę z drewnianej kostki oraz z kamienia w tej części, gdzie umieszczono krany i baseny do mycia pojazdów. Ściany hali, udekorowane egzotycznymi trofeami z afrykańskich, kosztownych safari Alfreda Potockiego, stwarzają specyficzny klimat polowań charakterystycznych dla stylu życia w rezydencji łańcuckiej.

Przy wejściu do powozowni „czarnej” nastrój zmienia się na zobowiązująco-wytworny, wieczorowo-wyjazdowy z powodu znajdujących się tutaj reprezentacyjnych karet i najelegantszych powozów. Patrząc na wielką berlinę ozdobioną podwójnymi herbami Sanguszków i Potockich możemy wyobrazić sobie ceremonię zaślubin znanej pary właścicieli Łańcuta. Wszak Maria z Sanguszków słynęła ze swej urody i znakomitych kreacji, a także ze swych salonów w Wiedniu i Lwowie. Mąż jej, Alfred Józef Potocki, sterował polityką przez wiele lat będąc ministrem spraw zagranicznych, później premierem Austrii i namiestnikiem Galicji. Do tej pary małżeńskiej należała również druga berlina paradna, zawieszona na ośmiu resorach,

z kryształowymi latarniami w srebrnych oprawach. Używali jej w Wiedniu, u dworu cesarskiego. Unikatowy komplet podróżny, składający się z karety sypialnej „*dormeuse*”, zwanej w Polsce „*leżajką*” oraz furgonu bagażowego, służył im do dalekich podróży np. do Paryża. Trasę Łańcut – Paryż pokonywano w ciągu 17 dni. Była to w połowie XIX wieku najszybsza podróż po Europie. Można dodać, że również najwygodniejsza, ale i najdroższa. Komfortowe wyposażenie karety w lustra, składane stoliczki, oświetlenie wewnętrzne, materace z safianu, schowki, żaluzje, firanki, kieszenie i poręcze dawało gwarancję wygody podczas długiej drogi. Najliczniejszą wszakże grupę stanowią wiedeńskie powozy i karety z późniejszej epoki, *fin de siècle*'u. Wszystkie resorowane, niektóre o kołach z gumowymi bandażami, co było nie tylko dowodem luksusu, lecz także nowoczesności. Przypominają bujne czasy karnawału, wieczorne wyjazdy do teatru, opery, na koncerty, bale, rauty i *assemblées*. Wśród powozów zwraca uwagę *calèche à la Daumont* z paryskiej fabryki Mühlbachera. Zadziwia ona elegancją kształtu i lekkością. Ten typ powozu uważano w XIX wieku za najwytworniejszy. Dlatego spełniał rolę reprezentacyjną. Do Łańcuta został sprowadzony koleją w 1923 roku, jako część spadku po Mikołaju Potockim, zamieszkałym stale we Francji. Po kilkakrotnym eksponowaniu go na wystawach lokomocji światowej w Paryżu, miał odegrać w Łańcucie najważniejszą rolę podczas oficjalnej wizyty księstwa Kentu w Polsce w 1937 roku. Pełen wytworności zaprzęg złożony z czwórki pięknych *hackney*'ów, powożonych z siodła, stroje służby, paryska uprzęż i niezwykłość scenerii do dzisiaj pozostały w pamięci najstarszych mieszkańców Łańcuta.



Omnibus sześćosobowy, z bagażnikiem na dachu, Schustala, Wiedeń, ok. 1900 r., fot. Jerzy Jawczak.

Porzucając klimat podróży, reprezentacji i karnawałowych „obowiązków”, przenieśmy się do powozowni „żółtej” w atmosferę polowań, spacerów i wiejskiej sielanki. A więc towarzyskie pikniki na polanach pachnących lasów, grzybobrania pełne przygód i posmaku hazardu, kosze rydźów, dzbanki malin, zapach poziomek i czarnych jagód.

Na te małe wypadki jeżdżono dużym brekiem, bryczką, szarabanem lub *wagonette*. Na poranne przejażdżki bardziej odpowiednie były *kariolki*, *charette’ki*, *parkwagony*, *gigi* i *damskie duc’i*. Prezentowano sztuk powożenia prowadząc parę, trójkę czy czwórkę koni. Zmieniano style zaprzęgów, by pokazać wysokie umiejętności panowania nad ognistymi rumakami.

Najwięcej emocji dostarczały jednak polskie polowania, które rozpoczynano wczesną jesienią, a kończono z pierwszymi chłodami zimy. Myśliwych i towarzyszące im odważne damy wieziono do lasu ogromnymi linijkami o podwójnych ławach *dos-a-dos*, przy których umocowane fuzje i torby na naboje dodawały szczególnego

„uzbrojonego” wyglądu. W gruncie rzeczy te wielkie i ciężkie, wieloosobowe pojazdy z fabryki Schustala-Nesselsdorf w Czechach odznaczały się szczególną elegancją. Pozorne resory stojące stwarzały wrażenie luksusu swoją archaizowaną konstrukcją. Skórzane błotniki, tapicerowane materace kryte modnym wówczas „manchesterem” w kolorze piaskowym dawały wygodę jazdy. Specjalny daszek brezentowy osłaniał panie przed nadmiarem słońca. Lubiły towarzyszyć męskim rozrywkom, podziwiać odwagę i refleks, ale również zażywać własnych emocji. Najmilszą perspektywę zapewniał powrót z polowania, gdy w ciepłe kominka i zaciszu myśliwskiego pałacyku w Julinie rozprawiano o męstwie, ryzyku, pełnych grozy i napięcia scenach przeżytych w kniei.



Nesener podróżny w stylu biedermeier, Austria, XIX w, fot. Mariusz Widerynski.

Na wsi również balowano podczas „zielonego” karnawału. Te wieczory dostarczały najwięcej dreszczy spodziewanych konkiet serc w blasku księżycy i przy śpiewie słowików. Zjeżdżano się na wieczorki letnimi powozami, takimi jak: *vis-a-vis*, *sociable*, *mylord*, a w dni chłodniejsze kazano zaprzęgać konie do zamkniętych landoletów ogrzanych „szofretką”. W kameralnym, ciepłym wnętrzu karety dwoje przytulonych snuło balowe marzenia. Kołysały lekko resory na wyboistych, wiejskich drogach, turkotały żelazne obręcze kół.

W niedzielne popołudnie chętnie wyprawiano się na partyjkę wista lub z wizytą. Porą dżdżystą i wietrzną dobrze było podróżować cabem francuskim. Wnętrze wprawdzie dość ciasne i powietrza w nim zbyt mało, ale od wiatru skutecznie chroniły składane szyby i klapa drewniana, podbita sukniem. Podróżnych wszakże czekała mała niewygodna, bez pomocy służby nie wysiedli. Sygnałem porozumiewawczym ze stangretem byty pętla na ramię, gwizdki ustne i ręczne gruszki gumowe.

Gdy na wielkanocne święta zjeżdżali goście z bagażami i liczną służbą osobistą, wysyłano na dworzec kolejowy kilka karet lub powozów i omnibus. Kufry, walizy, nesesery podróżne ładowano na dach omnibusu, służba siadała do przestronnego wnętrza, a goście sadowili się w karetach. Przed pałac podjeżdżał sznur pojazdów, witano miłych przyjaciół i wśród gwaru, nawoływań, wykrzykników, powitań proszono do uprzednio przygotowanych pokoi gościnnych. Mieściły się one na drugim piętrze. Każdy otrzymywał swój apartament składający się z kilku pomieszczeń: salonu, sypialni, pokoju dla służby i łazienki. Właśnie zamek przeszedł modernizację, w czasie której zmieniono system ogrzewania z piecowego na wdmuchowe oraz założono trzydzieści sześć luksusowych pokoi kąpielowych z nowoczesnym systemem wodno-kanalizacyjnym. Ci goście nie musieli już przyjeżdżać z własnymi gumowymi wannami, jak to bywało wcześniej, za czasów państwa namiestnikostwa. Poza obowiązującymi wspólnymi porami posiłków i zgromadzeniami na wieczorne salonowe rozmowy, koncerty i inne wspólne rozrywki, panowała duża dowolność zajęć. Dla miłośników książek i czasopism zagranicznych, wszelkich aktualności dostarczała biblioteka zamkowa, do dziś jedyna zachowana, prawie kompletna, wraz z urządzeniami, dawnymi meblami, rzadkim i wspaniałym księgozbiorem.



Kareta galowa berlina, Marker i Karasch, Wiedeń, I poł. XIX w. Na stopniach przy koźle data „1830” i monogram „H.W.”, fot. Jerzy Jawczak.



Powóz jesionowy typu „milord” , Polska XX wiek, fot. Jerzy Jawczak.

Zwolennicy sportów konnych mieli własne królestwo i prawdziwy raj. Do ich dyspozycji były piękne, wypielegnowane wierzchowce ze stajni hrabiego, którymi codziennie przejeżdżano się cienistymi alejami do konnej jazdy. W dni chłodne i deszczowe gromadzono się w ujeżdżalni zimowej zażywając tam sportu konnego lub przyglądając się ujarzmianiu (końskiej) młodzieży. W wielkiej szorowni stajni cugowych, która *de facto* była salonem, rozprawiano później żywo o przygodach i wydarzeniach sportowego poranka. Kto nie jeździł wierzchem, mógł kazać zaprząć konia lub konie do pojazdu spacerowego, do bryczki lub gigu i zażywać spaceru samemu lub w towarzystwie, ze służbą lub samodzielnie dobierając pojazd odpowiedni do sytuacji. W każdej chwili zarówno pojazd, jak i konie, uprzęż i służba była gotowa i stosownie ubrana. Paradne liberie przechowywano w pokojach służbowych mieszczących się przy powozowni. Tam każdy masztalerz miał swoje łóżko z czystą pościelą i angielskimi, wełnianymi kocami, toaletkę z umywalką i szafę z liberią. Służba odpoczywała codziennie od godziny 11-tej do 14-tej, po zaobroczeniu koni. Po południu masztalerze i chłopcy stajenni zajmowali się

czyszczeniem i porządkowaniem użytego sprzętu, pojazdów i uprzęży. Czas pracy trwał od 5-tej do 18-tej z trzygodzinną przerwą na posiłek i odpoczynek. Organizacja była doskonała, a stajnie i powozownia służyły z porządku i czystości. Trzeba dodać, że o konie wierzchowe szczególnie dbano. Pielęgnacja ich była trudna, ponieważ każdy koń był strzyżony (wierzchowe inaczej, zaprzęgowe inaczej), kąpany, czyszczeni do lśnienia i przykrywani deką letnią lub zimową, paradną lub codzienną. Uździenice, trzeme i uprzęż także wymagały starania. Części skórzane nacierano natłuszczającymi, delikatnymi pastami sprowadzonymi z Anglii. Okucia metalowe czyszczono specjalnymi środkami w zależności od rodzaju metalu. W efekcie wszystko błyszczało i lśniło. Nic dziwnego, bowiem należało do obyczaju właścicieli zamku, że zwiedzanie stajni cugowych i powozowni przez przyjezdnych uważano za jedną z atrakcji rezydencji łańcuckiej.



Powóz sześćosobowy zwany „Kongres Wiedeński”, Emberg i Glass, Wiedeń ok. 1800 r., data na stopniu 1833, i monogram „J.K.”. fot. Jerzy Jawczak.

Podziwiano stojące tam nieużywane już „wozy starożytne”, do których należał wspaniały „Kongres Wiedeński”, pamiętający czasy wesołego i tańczącego zjazdu

monarchów Europy i ich dworów. Opowiadano konfidentnie słynne afery i romanse z czasów prababki, księżnej marszałkowej Lubomirskiej. Nikt nie śmiałby jednak popełnić niedyskrecji w stosunku do tej słynnej i niezwykłej postaci, małej ciałem, lecz wielkiej rozumem. Duch księżny Izabeli, biało-błękitnej damy, po dziś dzień jeszcze unosi się w atmosferze komnat i w powozowni, gdy zdaje się, iż przed chwilą wysiadła ze swojej muszelkowej kariolki, którą jeździła dookoła fosy zamkowej.

Miała też i czym się pochwalić Elżbieta z Radziwiłłów Potocka, druga żona Romana, ojca ostatniego ordynata na Łańcucie. Oboje z mężem przecież uczynili tę rezydencję wielką i bogatą. Prowadzili prawdziwy europejski dwór pełen służby i gości. Kwitło w Łańcucie życie kulturalne ze wszystkimi jego urokami Belle Époque. Chyba najbardziej o tym świadczą owe wiedeńskie i paryskie powozy, karety, breki, szarabany zakupione przez tę gospodarną parę. Jest ich stosunkowo najwięcej. Romana Potockiego uznać powinniśmy za kolekcjonera pojazdów, bowiem zamawiał on nie tylko popularne typy pojazdów i karet, lecz także inspirował powstanie egzemplarzy unikalnych, takich jak powóz z odwróconym siedzeniem, *mylord* na ośmiu resorach, które sprezentował swej żonie.

W Polsce ordynat zamawiał sanie, bo gdzież je lepiej mogli wykonać niż w kraju, gdzie zimy z reguły bywają śnieżne. Sanie wyjazdowe, zwykle dwuosobowe z kozłem, posiadały wysoko wygięte śnieżniki i charakterystyczne odboje. Gruba baranica podszyta futrem niedźwiedzim lub kozuchem ogrzewała nogi najbardziej narażone na ziąb i bryłki lodu wykopywane spod kopyt koni. Długie futra, czapy i mufki zabezpieczały od mrozu. Ileż radości dostarczała szybka jazda w słoneczną pogodę, gdy śnieg skrzył się diamentowymi iskierkami, dziarsko parskwały konie albo rozgwieżdżoną nocą przy blasku pochodni i dalekonośnym dźwięku janczarów.

Dzisiaj podziwiamy te eksponaty muzealne na kołach i płozach, czarne i żółte z jesionowego drewna, kolorowe w zestawie ciemnego brązu, mahoni i jasnych części konstrukcji. Wypieszczone rękoma znakomitych majstrów, zmontowane w fabrykach Wiednia, Londynu i Paryża, świadczą dziś wymownie o minionych bezpowrotnie czasach, gdy w życiu mieszkańców łańcuckiego pałacu sytość, mnogość i najwyższa jakość szły w parze z niczym nie zakłóconym spokojem dnia codziennego.

Powrót



Zamek Potockich w Łańcucie.

Teresa Fabijańska-Żurawska

Dnia 23 lipca 1944 roku opuszczał swą ukochaną rezydencję IV ordynat na Łańcucie Alfred hr Potocki udając się via Kraków do Wiednia. Nie myślał wtedy o rychłym powrocie do rodzinnego gniazda, ale był pełen ufności, że Zamek i tym razem ostatnie się zawierusze wojennej, będąc jak zawsze pod opieką „dobrego Anioła Stróża”, jak sam określił. Wszak wraz z matką swą Elżbietą z Radziwiłłów, jeździł do Leżajska, by przed cudownym obrazem jaśniejącej Matki Najświętszej powierzyć Zamek i siebie Jej opiece. Czy wierzyli na prawdę w tę siłę nadprzyrodzoną? Faktem jest, że Zamek ocalał, a właściciele dożyli swoich dni.

Ostatnie miesiące Łańcuckiej egzystencji wypełnione były pracą przy pakowaniu i wysyłaniu rzeczy do Wiednia. W swoim pamiętniku Alfred hr Potocki opisuje niemal

dzień po dniu przygotowania, jakich dokonywano w Zamku do końca marca 1944 roku. Należy wspomnieć, że w czasie okupacji sztab wojska niemieckiego zajął część Zamku pozostawiając ograniczoną swobodę gospodarzom.

Pakowanie stało się faktem. Uprzątnęliśmy komnatę jedną po drugiej z obrazów, mebli, porcelany, kryształów i całej reszty. Niektóre z nich moi służący oplakiwali łzami, niezdolni do powstrzymywania emocji. To wyglądało jak koniec świata (...) Pamiętam jak stanąłem w pustym pokoju patrząc jak pada śnieg, a oficerowie niemieccy wchodzili i wychodzili z Zamku (...) To już nie było moje ognisko. Przychodzili poinformować mnie, że cały zamek będzie zajęty.

Pracowaliśmy w nocy wśród pomruków bombowców latających tam i z powrotem nad Zamkiem. Niejednokrotnie byłem na nogach aż do świtu doglądając pakowania porcelany i kryształów.

Nasze zasoby wyczerpywały się. Każdego dnia wydawaliśmy 400 posiłków bez liczenia tych, dostarczanych do około 200 uciekinierów i dla naszych biednych na miejscu. Na początku maja 200 uciekinierów dodatkowo przybyło ze Lwowa. Wydałem rozporządzenie by ich karmili aż do momentu, gdy nie zostanie ani jedna kromka chleba.

Zdecydowałem się wysłać do Wiednia zapakowane skrzynie i 10 maja załadowano 75 na dworcu w Łańcucie. Dwa dni później posłano 174 dodatkowo. Widziałem jak odjeżdżały i pytałem siebie czy je jeszcze zobaczę.

W połowie lipca Elżbieta Potocka wyjechała do Bad-Gastein, a następnie do Wiednia. Syn dołączył do niej 1 sierpnia. Zamieszkali w hotelu „Bristol”, gdzie nie byli jedynymi uciekinierami z Polski. Rzeczy łańcuckie, w sumie około 640 skrzyń dojechały do Wiednia i zostały w pałacu Lichtensteinów. W czasie bombardowań niektóre uległy zniszczeniu. Później podzielono je na dwie części. Jedna pojechała do Waduz, druga do Feldkirch w Austrii przy granicy z Lichtensteinem na odpłatne przechowanie w firmie Gebruder Weiss. Naloty zmusiły Potockich do wyjazdu 15 marca 1945 do księstwa Lichtenstein, później do Lozanny w Szwajcarii.

Dziś w Łańcucie wielu ludzi wspomina hrabiego Alfreda z najwyższym szacunkiem,

szczególnie gdy w latach okupacji zatrudniał ich w Zamku czy w ogrodach dając możliwość tym samym przeżycia całym rodzinom i uratowania ich od wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Kobiety znajdowały zatrudnienie w szkole hafciarstwa założonej przez hrabinę Romanową lub przygotowaniu obiadów dla uciekinierów i biednych. Zamek zawsze opiekował się nimi i czyniła to osobiście każdorazowo ordynatowa. Tak było i w ten czas niewoli.

Oczywiście wspominają i dobre czasy: polowania, przyjmowanie dostojnych gości, piękne powozy i widowiskowe zaprzęgi. Łańcut był salonem Rzeczypospolitej dla oficjalnych gości rządowych i salonem Europy dla gości Potockich.



Elżbieta Maria Matylda
z Radziwiłłów Potocka,
urodzona w Berlinie,
córka Antoniego ks.
Radziwiła i Marii de
Castellane, żona
Romana hr Potockiego,
matka Alfreda i
Jerzego.

Elżbieta Maria Matylda urodzona w Berlinie, córka Antoniego ks. Radziwiła i Marii de Castellane, żona Romana hr Potockiego, matka Alfreda i Jerzego. W rodzinie nazywana była Betką, a przez służbę Excellencją. Jej to właściwie Zamek zawdzięcza

dzisiejszy wygląd, modernizację (słynne łazienki, elektryczność, system ogrzewania etc.), założenie obecnych ogrodów w obrębie fortyfikacji i trzydziestohektarowego parku poza fosą. Także wzniesienie nowych, monumentalnych budynków stajni i powozowni. Wraz z mężem swym, poślubionym w Berlinie w 1885 roku z nadzwyczajną wytrwałością i świadomym programem pracowała nad wspaniałością Łańcuta nie niszcząc tego, co dawne, piękne, historyczne. Szczególnie zachowując wnętrza-komnaty zamkowe księżnej Marszałkowej Izabeli Lubomirskiej słynącej z umiłowania sztuk pięknych, dobrego smaku i zatrudniania najlepszych artystów epoki.

O swoich pierwszych wrażeniach i przebudowie całego zamku pisze Elżbieta hr Potocka we „Wspomnieniach”, które zachowały się w rękopisie w bibliotece muzealnej. Są pisane barwnie, a przy tym z dokładnością dokumentu czasu. Świadczą o jej żywości umysłu, wyobraźni i poczuciu humoru. Pokazują też ogrom pracy włożonej przed z górą stu laty, widocznej dzisiaj.

Wszystko to, by Łańcut błyszczał i promieniował swą kulturą w następnych, nieraz bardzo trudnych ekonomicznie i politycznie latach. Można powiedzieć, że zawsze uczył i radował, inspirował i zachwycił.

Pierwsze lata małżeństwa Elżbieta hr Potocka spędziła z mężem w Wiedniu, gdzie zasłynęła nie tyle urodą co urokiem, elegancją, pięknem toalet i ekwipaży. Później, po śmierci teścia w 1889 roku, gdy została ordynatową, czuła się i była z górą pół wieku panią na Łańcutcie.

W ostatnich latach życia dane jej było dzielić wraz z synem los emigrantów. Zmarła w sędziwym wieku 89 lat dnia 13 maja 1950 roku w Lozannie i tam została pochowana na pięknym cmentarzu patrzącym na jezioro Lemana (Genewskie).



Alfred Antoni hr
Potocki, IV ordynat na
Łańcucie.

Jej starszy syn, Alfred Antoni ur. 14 czerwca 1886 roku w Łańcucie, został po śmierci ojca w 1915 roku czwartym ordynatem łańcuckim. Był dziedzicznym członkiem Izby Panów i prezesem krakowskiej „Resursy”. W ostatnich latach życia został kawalerem Krzyża Maltańskiego.

Młodszy syn Elżbiety - Jerzy Józef urodzony w Wiedniu 21 stycznia 1889 roku otrzymał dobra pomorzańskie położone na wschód od Lwowa. Malowniczy renesansowy zamek w Pomorzanach posiadał niegdyś czworoboczny dziedziniec z krużgankami, po którym zostały dwa okazałe skrzydła z narożnymi wieżami i oficyną z późniejszych czasów. Jeszcze dzisiaj podziwiać można szlachetne propozycje i detal architektoniczny wysokiej klasy. Do Pomorza wiedzie przepiękna, szeroka droga przez Złoczów. Wielowiekowy, historyczny zamek był niszczone najpierw najezdami Tatarów, później innymi wojnami, ale został pięknie odrestaurowany na początku lat trzydziestych przez Jerzego hr Potockiego i jego żonę Susanę Iturregui y Orbegoso, która, jak tradycyjnie każda z pań Potockich, inicjatywą i finansami wsparła do niełatwe i kosztowne przedsięwzięcie. Ta para urodziwych ludzi ślub zawarła w Paryżu w obecności obu matek - wdów, dnia 28 czerwca 1930 roku i na pierwsze lata osiedlili się we Francji nie zapominając o swym tak bardzo włoskim zamku w Pomorzanach. Zauroczona jego wspaniałą architekturą i historią nowa pani domu, szycowna i miła, gospodarna, dobra i zapobiegliwa, wzorowo zajmowała się

wszystkim. Władając językiem polskim, którego nauczyła się chętnie, miała dobre kontakty z miejscową ludnością, wśród której prowadziła działalność charytatywną.

Urodziła się w Limie 8 października 1898 roku. Ojcem jej był Juan Manuel Iturregui, matką Susana Obergoso de Iturregui.

Rodzina Iturregui (Yturregui) przybyła z Hiszpanii do Peru w końcu XVIII w. Najbardziej znanym w historii był Juan Manuel Yturregui – dziadek Susany, wielki przyjaciel San Martina, z którym wywalczyli razem niepodległość Peru, w połowie XVIII w. Luis Jose Orbegoso – pradziadek Susany po kądzieli – był marszałkiem i prezydentem Peru.

Jerzy hr Potocki jako młody człowiek służył w wojsku austriackim, co uwiecznił pięknym portretem Wojciech Kossak. Za wolnej Polski, w 1919 roku Jerzy stał na czele polskiej misji wojskowej w Budapeszcie, a w latach 1919-1920 był adiutantem Marszałka Józefa Piłsudskiego, którego uwielbiał z wzajemnością. Następnie wybrany został senatorem z okręgu tarnopolskiego i tę funkcję musiał pozostawić po nominacji go na ambasadora Polski w Turcji. Jak powszechnie wiadomo, Turcja nie uznawała rozbiorów Polski i co roku padało pytanie: „*Gdzie jest poseł z Lechistanu?*”. Odpowiedź brzmiała: „*Nie przybył*”. Jerzy hr Potocki w 1933 roku jako pierwszy po wielu latach mógł ze wzruszeniem wstać i powiedzieć: „*Oto jestem*”.



Jerzy Józef hr Potocki, młodszy syn Elżbiety i Romana Potockich.

Stworzenie nowej placówki dyplomatycznej w Ankarze nie było łatwe. Remont zakupionego obiektu był kosztowny, sfinansowali go małżonkowie Potoccy z własnych funduszy rodzinnych. W 1936 roku Jerzy został ambasadorem Polski w Waszyngtonie z równoczesną nominacją na posła przy rządzie Republiki Kubańskiej, co trwało do 14 grudnia. Oboje Susana i Jerzy dużo podróżowali zabierając ze sobą urodzonego w 1932 roku syna Stanisława. Łańcut, Pomorzany, Paryż, Ankara, Waszyngton, Lima. Około 1939 roku Pomorzany wynajął od Potockich ambasador USA w Polsce Anthony Biddl. Sowieci wkraczający do Polski 17 września 1939 otrzymali rozkaz ominięcia i uszanowania tej prywatnej rezydencji, na której wisiała flaga amerykańska. Status nietykalności zachowały Pomorzany także w 1941 roku gdy Niemcy uderzyły na Rosję. Wówczas jeszcze Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny z Niemcami. W 1944 roku wraz z ofensywą sowiecką na zachód fala dzikiej nienawiści i tutaj sięgnęła. Pomorzany zostały splądrowane, czego nie udało się ukraść, zniszczono. Alfred hr Potocki zdawał sobie sprawę jakie zagrożenie nadchodzi dla Łańcuta.

W czasie wojny Susana hr Potocka organizowała pomoc finansową i żywnościową głównie dla jeńców za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża. Na ten cel w miejscowości Pau we Francji organizowała koncerty charytatywne zapraszając takich muzyków jak Radwan, Małcużyński czy Szering.

Jerzy hr Potocki zaprzyjaźniony z prezydentem Roosveltem zaofiarował mu swoją pomoc w pertraktacjach ze Stalinem. Doskonała znajomość języków, w tym rosyjskiego, oraz Kresów i mentalności sowieckiej mogły być niezwykle przydatne. Niestety został zlekceważony, zrezygnowano z jego propozycji. Był niewątpliwie zdolnym dyplomatą i gdyby nie wojna, życiorys byłby jeszcze ciekawszy.

Po wojnie ofiarowało mu obywatelstwo kilka krajów: Stany Zjednoczone, Kuba, Austria, Peru. Nie zrzekając się polskiego, przyjął obywatelstwo maltańskie zostając ambasadorem Zakonu Kawalerów maltańskich w Limie, gdzie wraz z żoną i synem zamieszkali od 1941 roku.

W działaniach ambasadora Polski wspierał go zawsze brat Alfred chociażby przez wydawane uroczyste przyjęcia w łańcuckim zamku i organizowane ciekawe, pełne emocji polowania. Obaj byli przednimi myśliwymi trzech kontynentów. Dotąd

zachowały się w Powozowni Zamkowej w Łańcucie liczne fotografie ze słynnych safari fundowanych przez ordynata łańcuckiego w 1924 i 1926 roku do Sudanu. Obaj również uprawiali sporty takie jak gra w polo czy golfa, z czego słynął Łańcut.



Susana Iturregui y Orbegoso, żona Jerzego hr Potockiego.

Obaj bracia pozostawili swoje wspomnienia. Fragmenty książki Alfreda, cytowane na początku, oddają atmosferę grozy przed nadchodzącym frontem sowieckim. Jerzy napisał książkę „Na wojnie i na łowach” - wspomnienia z lat wojny 1914-1916 i kontaktów z naturą podczas licznych polowań. Inne drobne artykuły w „Łowcy” zdradzają człowieka wrażliwego, miłośnika lasu i całej przyrody, znającego obyczaje zwierząt i ptaków, umiejącego wsłuchiwać się w życie, rozumieć je i szanować. Jerzy hr Potocki był niewątpliwie postacią interesującą, niezwykłą, godną biografii. Wielka szkoda, że nieznany jest los obecny jego pamiętników oraz ich tłumaczenia dokonane przez Louise de Villemoran na język francuski.

Na krótko przed śmiercią Jerzy hr Potocki napisał list do Władysława Gomułki z prośbą o zezwolenie mu na przyjazd do Polski, by tu dokonać swego życia. Nie dano mu możliwości nawet krótkiego, „turystycznego” pobytu. Zmarł 20 września 1961 roku w Lozannie, a jego starszy brat, ordynat łańcucki zmarł 30 marca 1958 roku w La Roche-sur-Foron. Obaj mieli po 72 lata. Pochowani zostali u boku ukochanej matki. Susana żyła długo, zmarła w sędziwym wieku 92 lat 19 lutego 1989 roku w

Lozannie i tam została pochowana.

Po wielu latach wrócili do Łańcuta, do należnego im miejsca - matka z synami i synową. Stało się to za sprawą syna Jerzego, Stanisława hr Potockiego i jego żony Rosy z hr Larco de la Fuente, którzy postanowili dopełnić historii i pochować swoich bliskich w rodzinnym mauzoleum pod farą w Łańcucie. Powtórny pogrzeb Potockich w Łańcucie odbył się 20 września 2001 roku.